

Anna Pamuła

ŻYWE DŹWIĘKI

Pani Hanka Rosenkratz, polska Żydówka, którą poznałam w Kostaryce, nie umiała swoim wnukom i prawnukom wytłumaczyć następujących słów:

Ślizgawka.
Kurtka z kożuszkciem.
Pantufle.
Pierogi.
Kartofle z kapustą.

Przypomniała je sobie w rozmowie ze mną, a nie wypowiadała ich ponad 70 lat, bo z Warszawy wyjechała do Kostaryki zaraz po wojnie. Otworzyła sklep z *zapatos, jackets y sombreros*, z mężem mówiła w jidysz, to z kim miała po polsku plotkować? – Polski to jest mój język nie nabyty, ale urodzony. Powoli go zapominam, ale wraca do mnie w nocy, jak nie mogę zasnąć.

Dla mnie też „ślizgawka” to żywy dźwięk. Gdy go wypowiadam, czuję mróz polskiej zimy, słyszę ostrze łyżwy uderzające o lodowe lustro. Wyobrażam sobie od razu cienką tafłę jeziora albo rzeczki, na której jeździła mała Hanka, bo wiem, że „ślizgawka” to nie zawsze to samo co „lodowisko”, a „ślizgać się” to nie to samo co „jeździć na łyżwach”, bo ślizgać się można na butach. Jak pani Hanka mogła to wytłumaczyć swoim dzieciom i wnukom, które urodziły się w tropikalnej Kostaryce i lodowisko kojarzy im się ewentualnie z amerykańskimi rozgrywkami hokeja, jeśli w ogóle? Ewa Hoffman pisała w *Zagubionych w przekładzie*, że słowa po angielsku, których uczyła się jako młoda dziewczyna po przeprowadzce do Kanady, nie kojarzyły jej się z poszczególnymi pojęciami w tak bezpośredni sposób jak w ojczystym języku. Na przykład słowo „rzeka” to dźwięk wypełniony treścią rzek, które znała, rzek, w których się kąpała. *River* po angielsku brzmi chłodno, pisze Hoffman, jest słowem bez klimatu. Z niczym jej się nie kojarzy,

nie promieniuje z niego świetlista aura konotacji. Niczego nie wywołuje w umyśle.

Według pani Hanki polskie słowa są równie nieprzetłumaczalne jak życie w Warszawie przed wojną. Należą do przeszłości i pani Hanka woli, żeby tam zostały, bo jak je wypowiada, to ją boli *adentro*, gdzieś w klatce piersiowej.

Może dlatego czasem zapominamy nasz język „urodzony”, bo każde słowo, przez to, że jest pełne znaczeń i obrazów, mogłoby boleć. Poza tym całą energię skupiamy na nauce nowego języka, a więc i nowych „nieprzetłumaczalnych słów”. Ja po siedmiu latach we Francji coraz częściej sporządzam notatki z rozmów z bohaterami po francusku. Rzadziej tłumaczę sobie w głowie to, co mówią, na polski. Francuskie słowa nabierają dla mnie nowego wymiaru, rosną jak ciasto drożdżowe. Wcześniej widziałam tylko wyraz, jakbym za każdym razem otwierała słownik. Teraz zaczynam go czuć: *une voiture* to w mojej głowie citroen clio z poobijanymi zderzakami (w Paryżu parkuje się na tzw. gazetę, uderzając lekko samochód z przodu i z tyłu), *un croyant* to osoba wierząca, ale raczej muzułmanin niż katolik, a muzułmanin to nie jakiś wariat z brodą z telewizji, tylko mój sąsiad, Said, który prowadzi restaurację z kuskusem. O „mojej Francji” czasem łatwiej opowiedzieć mi po francusku („żółte kamizelki” brzmią nieswojo), jak pani Ofelia w Kostaryce, która o dzieciństwie w Warszawie mówiła po polsku aż do momentu, gdy mama i tata sprzedali meble, by zgromadzić jak najwięcej pieniędzy na podróż do Kostaryki. Wtedy Ofelia pomieszała dwa języki. O wyprawie i pierwszych latach w Kostaryce opowiadała już po hiszpańsku. Tak jakby język polski należał do życia, które przestało istnieć, gdy transatlantyk opuścił port w Amsterdamie.

Guita, inna polska Żydówka, której dedykowałam moją książkę *Polacos. Chajka płynie do Kostaryki*, płakała, że nigdy nie nauczyła się polskiego, żeby móc lepiej zrozumieć swojego męża, Carlosa (w Polsce Kazimierza). Opowiadała mi ze wruszeniem, jak Carlos śpiewał ich dzieciom kołysanki po polsku i uczył je wylizanelek. „Temu dała, temu dała, temu dała, a potem frrrrrr... odleciała” – recytowała mi Guita po polsku, a ja od razu pomyślałam o mojej babci, która bawiła się ze mną tak samo, a na koniec mocno szczypała w rękę i sroczka odlatywała. Carlos był znany wśród kostarykańskich znajomych ze swoich powiedzonek, które tłumaczył z polskiego dosłownie. Wszystkich nimi rozśmieszał, według Guity tylko dlatego, że nie rozumieli, o co w nich chodzi. *Para pelear se necesitan dos* [Do kłótni trzeba dwojga], *La manzana no cae lejos del árbol* [Niedaleko pada jabłko od jabłoni], *Si no se tiene lo que se quiere, se quiere lo que se tiene* [Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma]. Ja od razu usłyszałam moją mamę, która komentuje moje kłótnie z siostrą, zobaczyłam sad jabłkowy w starym domu mojej przyjaciółki z podstawówki i moją babcię, która podstawiła mi pod nos talerz z kaszą gryczaną. – Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Ania, jedz! – mówiła i zaciągała się „papieroskiem” (nigdy nie używała słowa „papieros”, tak jakby „papieroski” były mniej szkodliwe). Gdy Carlos i Guita byli sami, mówił do niej po polsku

„kochanie”. Guita czuła, że jak mówił po polsku „kocham cię”, znaczyło to dużo więcej od *te quiero*.

Ja tak samo nigdy nie wyobrażam sobie powiedzieć do mojego synka *je t'aime*. Kiedy mówię do niego po francusku, to patrzy na mnie podejrzliwie i od razu sprawdza po polsku: „Mama, jesteś tam?”. Język to nasz polski, nieprzetłumaczalny świat. To nasz język sekretów, bo jak siedzimy w metrze i chcemy czegoś obgadać, to możemy to zrobić po polsku. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nikt nas nie rozumie.

Pierogi ruskie dziadka Mietka.
Ptasie mleczko.
Galaretki „Mieszanka krakowska”.
Pierwsze papierosy na Plantach.
Mróz.
Hart ducha.
Kombinacje.
Ściąganie na kartkówkach.
Łąka.
Polana.
Stary sad.
Dynastia.
Harlequiny na zakazanej półce babci Jasi.

Ja też, jak pani Hanka, mam swoje nieprzetłumaczalne terytoria. Leżą najbliżej serca.